GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LIPCA 1937 R.

Nr. 13 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 13
1937 R.
1 — VII

STALI WSPÓŁPRACOWNICY: CZESŁAW BOBROWSKI, HENRYK GRENIEWSKI, STANISŁAW GRYZIEWICZ, ALEKSANDER IVANKA, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, MICHAŁ KACZOROWSKI, PIOTR KALTENBERG, ZDZISŁAW ŁOPIEŃSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, WITOLD PTASZYŃSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI BOLESŁAW WŚCIEKLICA, JACEK RUDZIŃSKI, redaktor

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

DEMOGRAFIA I KONIUNKTURA

Właściwą ocenę rozwoju koniunkturalnego można uzyskać tylko, rozpatrując dłuższe okresy czasu na tle dynamiki demograficznej.

Człowiek trudniący się publicystyką żyje stale pod naciskiem wymagań pisania w sposób interesujący i na tematy aktualne. Jednym z podstawowych warunków pisania interesująco jest niepowtarzanie się, co rozumie się przeważnie jako zmiana tematów. Jeżeli jednak traktuje się publicystykę jako jeden ze środków w dążeniu do dalekich celów, w danym wypadku społeczno - gospodarczych, to nieuniknioną jest koniecznością, ciągłe powracanie do tematów związanych z celami nieosiągniętymi, choćby to miało trwać nawet dziesiątki lat. Aż dopóki słowo mówione i słowo pisane nie stanie się ciałem.

Ażeby jednak nie znudzić czytelnika (bo wówczas publicystyka traktowana jako środek w dążeniu do celu, nie spełniała by swego zadania) wolno powracać do tematu wtedy, gdy się zdobędzie jakiś nowy przyczynek, nowy kąt widzenia tejże rzeczywistości. „Gospodarka Narodowa" od dawna reprezentuje tezę, że duży przyrost naturalny powinien być traktowany jako jedna z głównych koordynat polityki gospodarczej. Ten punkt widzenia zyskał już sobie szerokie koło wyznawców. Na łamach „Gospodarki Narodowej" oświetlaliśmy niejednokrotnie podstawowe zagadnienia naszego życia gospodarczego pod kątem widzenia zadań, jakie stawia duża dynamika ludnościowa i wpływów tej dynamiki na kształtowanie się procesów gospodarczych.

W szczególności stawialiśmy postulat, że tempo naszego rozwoju gospodarczego może być uznane za wystarczające dopiero wtedy, gdy przyrost produkcji brutto i produkcji netto (kapitalizacja) będzie przewyższać tempo przyrostu naturalnego, a za stan zupełnie dobry moglibyśmy uznać tylko takie tempo rozwoju gospodarczego, kiedy wspomniana nadwyżka była by wyższa niż w innych krajach.

Zarówno nasze rozważania, jak i innych organów publicystycznych na ten temat przypadały na okres depresji gospodarczej, kiedy obraz z natury rzeczy musiał wyglądać ponuro. Dziś jesteśmy w fazie zwyżkowej koniunktury, w którą wstąpiliśmy znacznie później od innych państw. Sam marsz, sam ruch naprzód stwarza inną atmosferę psychiczną. Lecz ta atmosfera nie powinna zwężać horyzontu myślowego, nie powinna wpływać na ocenę sytuacji i wytwarzać złudzeń wiodących do spoczynku na laurach, do kwietyzmu, zadowolonego z istniejącego stanu rzeczy, do przekonania, szukającego sobie „naukowego" uzasadnienia w teorii liberalnej, że wysoka fala koniunkturalna sama wyniesie nas wzwyż. Wysoka fala bowiem wynosi dobrych żeglarzy, ale topi złych, popycha naprzód mocne okręty i rozbija słabe.

Przy omawianiu koniunktury operujemy wskaźnikami ogólnej produkcji przemysłowej w stosunku do 1928 roku, przyjętego za 100. Wskaźniki te nie mają żadnego znaczenia dla porównywania poziomów rozwoju gospodarczego poszczególnych krajów, nie są wszędzie obliczane w/g jednolitych metod, ale dla porównywania dynamiki rozwojowej poszczególnych

gospodarstw narodowych są wystarczające. Wskaźniki te nie uwzględniają jednak faktu wzrostu ludności w poszczególnych krajach, który to fakt w innym nieco świetle przedstawia osiągnięte rezultaty gospodarcze. Chodzi bowiem o to, czy produkcja wzrasta lub spada w stosunku do liczby ludności. Słowem chodzi o wskaźnik produkcji na głowę ludności. Wskaźnik taki otrzymamy przez podzielenie wskaźnika produkcji, na wskaźnik ludności (1928 r. = 100). W roku 1936 cyfry te będą przedstawiały się następująco:

	Produkcja	Ludność	Produkcja na głowę ludności	Przeciętny wskaźnik produkcji na głowę ludności za 9 lat (1928—36)
Anglia	123,1	103,3	119,2	100,0
Francja	77,6	102,1	76,0	88,3
Niemcy	107,6	106,3	101,2	81,9
Włochy (1935 r.) [1]	100,2	106,5	94,1	89,3
Polska	72,0	110,8	65,0	70,1
Japonia (1935 r.)	158,1	111,5	141,8	112,5

Uwzględniliśmy w tej tablicy dwa kraje o małym przyroście ludności i niecierpiące na przeludnienie — Anglia i Francja i dwa kraje o średnim z naszego punktu widzenia przyroście naturalnym, ale przeludnione—Włochy i Niemcy. Japonię nie uważamy za miarodajną do czynienia wniosków dla użytku praktycznego, gdyż warunki tam panujące są wręcz odmienne od europejskich. Jeden można tylko wysnuć wniosek z cyfr odnoszących się do Japonii, wniosek obchodzący całą Europę, a mianowicie, że następuje zmiana stosunku sił na korzyść Japonii, nawet w porównaniu z najbardziej przodującymi krajami Europy.

Powracając do spraw bliżej i bezpośrednio nas obchodzących, można na podstawie tej tabelki stwierdzić, iż nie jest prawdą, by wysoki przyrost naturalny zawsze i w każdych warunkach powodował gorsze wyniki gospodarcze w danym państwie w porównaniu z innym, gdzie przyrost naturalny jest mały. Włochy bowiem i Niemcy mają lepsze wyniki niż Francja, nie mówiąc już o Anglii, która też ma wyższy przyrost naturalny od Francji.

Wprowadziliśmy tu jeszcze przeciętne za 9 lat (1928 — 1936). Chodzi bowiem o to, by uwzględnić cykliczne wahania koniunkturalne i wyeliminować je poniekąd. Mówi się, że dobrze prowadzone przedsiębiorstwo, powinno w czasie depresji pokrywać straty zyskami, nagromadzonymi w czasie zwyżkowej koniunktury. Ta sama zasada dotyczy i gospodarstwa narodowego jako całości.

Kryzys pochłania to, co wytworzyła koniunktura poprzednia, a nowa zwyżka powinna nadrobić z nadwyżką straty kryzysowe i stworzyć rezerwy niezbędne dla przetrzymania następnej depresji. Jak widzimy to dzisiaj w tym 9-cio letnim cyklu, wziętym zresztą zupełnie dowolnie, po prostu dlatego, że są odnośne cyfry, jedynie Anglia zdążyła w 1936 roku pokryć wszystkie kryzysowe straty, a wobec tego w 1937 roku, wypracowuje już nadwyżkę. Po Anglii najlepiej stoją Włochy, mimo, iż brak im 1936 roku, roku w którym zwyżkowa koniunktura dopiero nabrała rozpędu.

Najgorzej przedstawia się sytuacja Polski i Francji. Warto podkreślić, że wyniki roku 1936 są w tych krajach niższe od przeciętnej za 9 lat, podczas, gdy w Anglii, Niemczech i Włoszech — są wyższe od tej przeciętnej. Ponieważ prawdziwym miernikiem rezultatów gospodarowania nie są wskaźniki jakiegoś poszczególnego roku, czy wyjątkowo dobrego, czy wyjątkowo złego, bo mogą tu działać czynniki przypadkowe, a przy tem rok jest okresem czasu zbyt krótkim i nie zamyka w sobie wyników dłużej trwających procesów gospodarczych, jak naprzykład rozpoczęcia budowy fabryki, rozwinięcia jej produkcji i osiągnięcia rentowności, to wypowiadać się o skuteczności polityki gospodarczej i wartościach systemów gospodarczych kraju można tylko na podstawie przeciętnych za dłuższe okresy czasu, np. za okres pełnego cyklu koniunkturalnego. W myśl tego założenia słuszniej jest oceniać stan gospodarczy w poszczególnych latach w stosunku do przeciętnej, a nie punktu najwyższego w poprzednim okresie. Zgodnie z tem założeniem, stan gospodarczy Francji i Polski w roku 1936 był jeszcze niezadawalający. Rok 1936 był już dla Francji i Polski, rokiem zwyżkowej koniunktury, ale jeszcze nie był rokiem dobrej koniunktury. W tę fazę wkroczyliśmy dopiero w 1937 roku, gdy wskaźnik produkcji, zarówno bez uwzględnienia przyrostu naturalnego jak i z uwzględnieniem, przewyższył przeciętną 9 ostatnich lat, przeciętną wyjątkowo niską, dlatego, że spadek produkcji przemysłowej w Polsce był najniższy, a tempo podnoszenia się od „dna" kryzysu, t.j. 1932 r. do 1936 roku włącznie bardzo powolne, chociaż stałe, podczas, gdy we Francji były dwa „dna" kryzysu — w 1932 r. i po przejściowym wzroście, — w 1935 roku, przyczem to drugie „dno" było na jeszcze niższym poziomie. Wysoki zaś przyrost naturalny, najwyższy w rozpatrywanej grupie państw europejskich, a niewiele ustępujący japońskiemu, obniża nasz wskaźnik produkcji na głowę ludności.

Stwierdziliśmy powyżej na podstawie przytoczonych zestawień cyfrowych, że większy przyrost naturalny sam przez się nie przesądza o zmniejszeniu tempa wzrostu produkcji przemysłowej nawet w przeliczeniu na głowę ludności. Niewątpliwie jednak zadania stojące przed polityką gospodarczą państw o dużej i małej dynamice ludnościowej, są różne i różne muszą też być i metody.

Włochy i Niemcy (i Japonia) prowadziły politykę nakręcania koniunktury. Włochy od samego początku kryzysu, Niemcy od „dna" w 1932 — po przewrocie hitlerowskim. W rezultacie „dno" włoskie ma poziom bardzo wysoki — 73 ogólny wskaźnik i 70,5 na głowę ludności podczas, gdy w Niemczech odnośne cyfry są 54 i 53, w Polsce 54 i 51. Niemcy jednak bar-

[1]) Włochy w 1936 r. prowadziły wojnę z Abisynią. Danych o produkcji nie ogłosiły, a zresztą dane te z uwagi na charakter wojennej produkcji, nie nadawały by się do porównań. Zaznaczyć należy, iż Niemcy w 1935 r. miały wskaźnik produkcji 95,3, ludności 105,1, produkcji na głowę ludności 90,7, a więc pod każdym względem stały w tempie rozwoju niżej od Włoch.

dzo szybko nadrabiają swe opóźnienia w stosunku do Włoch. Francja nie nakręcała koniunktury, w odróżnieniu jednak od Włoch, czy Polski posiadała ogromne rezerwy. Anglia nie *nakręcała* koniunktury, tylko *nakręciła* ją jeden raz, ale bardzo skutecznie przez dewaluację funta. Dla kraju tak związanego z rynkiem światowym w zakresie obrotów towarowych i kapitałowych jak Anglia, ta metoda oddziaływania na życie gospodarcze okazała się wybitnie skuteczną. Stanom Zjednoczonym dewaluacja nie przyniosła tak wielkich korzyści, bo powiązania finansowo - towarowe St. Zjedn. ze światem są mniejsze niż Anglii. Zresztą amerykańska dewaluacja miała nieco inne zadania do spełnienia niż angielska.

Szukając wyjaśnienia przyczyn, dlaczego Anglia zdecydowała się na ingerowanie w przebieg cyklu koniunkturalnego, zamiast być tylko przysłowiowym nocnym stróżem, pomimo, iż jest ojczyzną liberalizmu gospodarczego, i okazała się w rezultacie mniej liberalna od Francji, chociaż jest dość bogatą, by móc czekać, możemy oprzeć się chyba jedynie na różnicach struktury społecznej i demograficznej. A mianowicie podział bogactw w Anglii jest mniej równomierny niż we Francji, przy czem w Anglii występują pewne cechy przeludnienia mimo słabej dynamiki przyrostu naturalnego, podczas, gdy Francja jest raczej niedoludniona. Anglia miała i ma do dziś dużo bezrobotnych, których wprawdzie może utrzymywać, ale dalekowzroczna polityka wymaga jednak walki z bezrobociem nawet wtedy, gdy nie zagraża ono bezpośrednio porządkowi publicznemu w drodze rozruchów lub dążeń rewolucyjnych. Chodzi bowiem o zdrowie moralne narodu i wykorzystywanie wszystkich jego twórczych sił.

Francja nie miała nigdy dużego bezrobocia i mogła go zmniejszać przez pozbywanie się immigrantów. Nie istniały we Francji zatem żadne bodźce, zawierające w sobie elementy pozagospodarcze do czynienia wysiłków walki z kryzysem. Bodźce czysto gospodarcze okazały się niewystarczające, by zrodzić tego rodzaju dążenia. Francuzi byli dość bogaci, by dla samego tylko dalszego bogacenia się podejmować większe wysiłki i eksperymenty gospodarcze i socjalne. Te ostatnie zaczęli robić dopiero w oparciu o dobrą koniunkturę wbrew wszelkim tradycjom rewolucyjnym, w myśl których oparcia w społeczeństwie dla rewolucyjnych zmian szukało się dopiero wtedy, gdy nie można było obecnej rzeczywistości już dłużej znosić. Wygląda na to, że francuscy socjaliści wykalkulowali sobie, iż lepiej jest przystępować do bardziej równomiernego podziału dochodu społecznego na rzecz warstw pokrzywdzonych wtedy, gdy dochód rośnie, a nie wtedy, gdy się zmniejsza, bo to się lepiej opłaca. Wydaje się, że dążenie do sprawiedliwego podziału dochodu narodowego jest we Francji przeprowadzone z punktu widzenia interesów jednostek a traktowane jako niezależna i samobytna idea społeczna, podczas, gdy np. w Niemczech i Włoszech sprawiedliwość społeczna jest misją państwa i ma służyć do umocnienia materialnych i moralnych podstaw idei państwowej i narodowej.

Sytuacja Polski w zestawieniu z wymienionemi państwami jest paradoksalna. Mając ogromny stopień przeludnienia, największy przyrost naturalny i najmniejsze rezerwy postanowiliśmy przetrwać kryzys bez nakręcania koniunktury. Wszelkie nakręcanie koniunktury polega na uruchamianiu rezerw, gromadzących się zwykle i bezczynnie leżących podczas kryzysu. W kraju o wybitnie niskim dochodzie społecznym, zmniejszonym globalnie na skutek depresji, a w przeliczeniu na głowę ludności malejącym jeszcze szybciej na skutek wzrostu ludności, trzeba było heroizmu, by patrzeć na leżące bezczynnie rezerwy w oczekiwaniu na zwyżkową koniunkturę. Polityka przetrwania kryzysu miała by istotnie sens i spełniła by swe zadania, gdyby przetrwały również i rezerwy. Ale pokusa była nie do zniesienia i rezerwy zostały częściowo skonsumowane, a częściowo uciekły zagranicę. Niemcy i Włochy zamknęły rezerwom możność ucieczki i nie dopuściły do ich konsumcji, zamrażając je w inwestycjach publicznych, Anglia skonfiskowała ⅓ rezerw przez dewaluację, również na cele ożywienia koniunktury metodami czysto finansowemi.

W rezultacie Polska weszła w fazę zwyżkowej koniunktury bez rezerw płynnych, ze zmniejszoną zdolnością wytwórczą aparatu produkcyjnego i znacznie zwiększoną ludnością. Jakież stąd wynikają konsekwencje? Zdaje się, iż można je ogólnie sformułować w ten sposób, że musimy prowadzić dalej politykę „zaciskania pasa" i nie podwyższać przeciętnej stopy życiowej w porównaniu z okresem kryzysowym, poto, by cały koniunkturalny przyrost dochodu kierować na inwestycje, z całą przy tem świadomością, że jest to jeszcze za mało i że trzeba obciążyć i dochody przyszłe, jeśli chcemy dorównać kroku bliższym i dalszym sąsiadom.

ADMINISTRACJA PROSI

O ODNOWIENIE PRENUMERATY

NA KWARTAŁ III – 1937r.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

REGLAMENTACJA „PROSPERITY"

Anarchiczny rozwój koniunktury światowej zmusza do zastanowienia się nad ujęciem jej w karby interwencjonizmu — analogicznie jak to miało miejsce w stosunku do depresji gospodarczej.

Na bardzo pięknie wydanym z okazji 9-ego kongresu Międzynarodowej Izby Handlowej numerze organu tej Izby, „L'Economie Internationale", widnieje hasło, pod którem zbiera się, zapewne, i sam kongres. Hasło to brzmi: ku *trwałej* poprawie... Podkreśliliśmy przymiotnik, bo stanowi on charakterystyczny leitmotiv, przewijający się we wszystkich nieomal enuncjacjach, traktujących ostatnio o sytuacji gospodarstwa światowego. O tem, że poprawa istnieje, nikt oczywiście nie może już wątpić ani na chwilę. Więcej nawet: wszystkim jest jasne, że właściwie ogarnęła ona całą kulę ziemską i że „wyspowość" poszczególnych koniunktur narodowych, która była cechą charakterystyczną sytuacji gospodarczej świata w ciągu dwuch — trzech lat ostatnich, powinna właściwie, logicznie rzecz biorąc, roztopić się w „prosperity" ogólnej. Dlatego też nikt już poprawy gospodarczej na świecie nie wygląda. Ale natomiast ta, która istnieje, wzbudza więcej niepokoju niż zachwytów. Z prawdziwym zdziwieniem słuchał autor niniejszych uwag w październiku r.ub. wywodów jednego z czołowych ekonomistów i polityków gospodarczych Europy, w których brzmiały (już wówczas...) obawy przed *przyszłym* kryzysem, mającym nastąpić po zarysowującej się wyraźnie koniunkturze. Okazało się, że przewidywania były trafne. „Boom" surowcowy końca r.ub. i pierwszego kwartału r.b. był czemś więcej niż zwykłą spekulacją. Dowiódł on niezbicie, iż sam charakter obecnej poprawy gospodarczej na kuli ziemskiej jest *niezdrowy*, że nie jest to ożywienie powracającego do zdrowia organizmu, ale raczej podniecenie, występujące w organizmie niedoleczonym, kurowanym — notabene — według niezmiernie różnolitych terapii, organizmie, gdzie niektóre organy gwałtem, jak gdyby, wydzierają się do życia i normalnego funkcjonowania, podczas, gdy inne są w dalszym ciągu chore i zatrute... Stąd już niedaleko do wniosku, iż tego rodzaju pozorne uzdrowienie musi z konieczności być niezmiernie krótkie, że organy chore „zakażą" ponownie te, które z choroby się wygrzebały, i że — na koniec — gospodarstwo światowe zapadnie się znów na długie lata w klęskę kryzysu.

Nic dziwnego, iż w tych warunkach zagadnienie *trwałości* obecnej poprawy koniunkturalnej na świecie stoi w ośrodku zainteresowań. I wszyscy bez wyjątku z obserwatorów międzynarodowego życia gospodarczego godzą się zadziwiająco zgodnie na tezę, która jeszcze przed kilku laty wywołałaby zapewne wybuch oburzenia. Teza ta brzmi: poprawa, aby była trwała, musi być odpowiednio *pokierowana*... A więc nie ma mowy o swobodnej grze sił gospodarczych już nie tylko w okresie depresji, ale również i w okresie wysokiej koniunktury. Dotychczas myślano przecież, że więzy interwencjonizmu nałożone na gospodarstwo światowe konieczne są (ostatecznie...) w chwili, kiedy linia koniunkturalna się obniża. Przy kurczącym się dochodzie społecznym konieczne jest oddziaływanie na sprawiedliwszy jego podział. Co innego—powiadano—w okresie zwyżkującego dochodu... Tutaj już będzie można swobodnie popuścić cugli. Im lepsza sytuacja koniunkturalna, tem mniejsze jest znaczenie interwencji. Ale zaledwie tylko świat zobaczył na własne oczy, w jaki sposób odbywa się pokryzysowa poprawa, już zabrzmiał powszechny okrzyk: nie tak... taki kierunek jest niebezpieczny... trzeba to wszystko razem zorganizować i uregulować...

Nie jest zadaniem niniejszych uwag przedstawianie w sposób bardziej szczegółowy przyczyn, dla których „boom" na przełomie 1936/7 r. przestraszył jednych, a otworzył oczy innym badaczom gospodarstwa międzynarodowego. Dość powiedzieć, że puszczona na wolną stopę spekulacja, wykorzystując istotne i niesporne impulsy koniunktury, skrzywiła odrazu jej kierunek w ten sposób, iż dla wszystkich stało się jasne, że przy utrzymaniu tych warunków mowy nie ma o przetrwaniu tej „koniunktury", dłużej niż przez kilka miesięcy. Czytaliśmy ostatnio w „Polityce Gospodarczej" krótki opis tych obaw pod tytułem: „Odkręcanie" koniunktury... Dowiedzieliśmy się zeń, iż prof. Cassel chce przeciwdziałać „boom'owi" przez prowadzenie polityki podrożenia kredytu (należy chyba rozumieć: sztucznego podrożenia kredytu — tak, jak sztucznie utrzymywana była w niektórych krajach w ciągu lat ostatnich polityka taniego pieniądza...). Prof. Keynes nie wierzy w skuteczność takiej akcji i pragnie dusić nadmierne wybujałości koniunkturalne przez ograniczanie kredytów bankowych (chyba też sztuczne?...) i opodatkowanie transakcji giełdowych. Prof. Gregory w cytowanym na wstępie kongresowym numerze „L'Economie Internationale" powiada po prostu, że, nie mając „uniwersalnego środka" na oddziaływanie na tak skomplikowany aparat, jakim jest gospodarstwo międzynarodowe, trzeba po prostu *kontrolować poprawę koniunkturalną*, oddziałując na jej wybujałości tak, jak reaguje się na wybujałości depresji w okresie spadku koniunktury.

Prof. Gregory daje przy tem, oczywiście, szereg rad, pokrywających się czasami z radami innych ekonomistów, a czasami idących nawet dalej. Proponuje on trzymać rękę na pulsie kredytowania przez banki emisyjne życia gospodarczego, odłożyć wszystkie roboty publiczne (chyba, że służą bezpośrednio do zbrojeń, bo cóż by się stało z programem zbojeniowym w ojczyźnie p. Gregory?...) i prowadzić ta-

ką politykę budżetową, która by ułatwiała tworzenie się zapasów, redukując zdolność nabywczą społeczeństw. Przypuszczalnie w toku wykonywania tych zaleceń musiałyby pójść równolegle z nimi i inne. Mimo to jednak inicjator „kontrolowanej koniunktury“ zamieszcza uwagę, iż w gruncie rzeczy kontrola ta powinna „starać się o wzmocnienie“ automatycznych „sił (w cyklu koniunkturalnym), a mniej zastępować ślepe i anarchiczne siły przewidywaniem i obmyślaniem z góry“. Krótko mówiąc, p. Gregory uważa, iż gospodarstwo „związane“ nie powinno (a w każdym razie niekoniecznie musi) zastąpić obecną — w rozumieniu p. Gregory — gospodarkę wolną.

Zwolennicy tej teorii mogą odrazu wysunąć na czoło swoich argumentów fakt istnienia już i przed kryzysem i wojną światową tego rodzaju „odskoków“ od liberalizmu klasycznego, jak cła ochronne, czy nawet — idąc jeszcze dalej — manipulację stopą procentową przez banki emisyjne. A przecież — powiedzą — liberalizm był wówczas w gruncie rzeczy zupełny. Cóż w tem dziwnego, że i obecnie, kiedy ma on powrócić na skutek podnoszenia się koniunktury, projektuje się pozostawienie, czy nawet ustanowienie takiego czy innego regulatora dla tej koniunktury? Od „tego“ do gospodarstwa związanego jest przecież jeszcze cała przepaść...

Nie jesteśmy tego zdania. Uważamy, że fakt, iż nawet u teoretyków pokryzysowego liberalizmu łatwo znaleźć można tendencje interwencjonistyczne, dowodzi, iż jakakolwiek „kontrola“ gospodarstwa w chwili obecnej musi wyrazić się w interwencjonizmie państwowym — i to w interwencjonizmie dość daleko posuniętym. Stopień interwencjonizmu tego zależeć będzie już tylko od rozmiaru zadań samej „kontroli“. Osobiście, jak wspomnieliśmy, wątpimy np., aby kontrolą kredytów banków emisyjnych, zatrzymaniem nie-wojennych robót publicznych i deflacją budżetową udało się „pokierować“ wysoką koniunkturą i uniknąć w niej ekscesów. Ale, gdyby nawet tak być miało, to i ten program uważamy za interwencjonizm wcale daleko posunięty. Przeprowadzenie linii podziału pomiędzy polityką zalecaną przez liberalnych uczonych na okres wysokiej koniunktury a tem, co nazywają oni ogólnikowo „gospodarstwem kierowanym", jest dla nas nieco zbyt teoretyczne.

Albowiem decydującym w naszym przekonaniu jest fakt, iż w ogóle wysokiej koniunkturze światowej zamierza się stawiać *jakiekolwiek* ograniczenia. W pojęciu tych, którzy wierzyli w powrót liberalizmu po depresji 1929 — 1932 r., rozwój wypadków miał przecież przedstawiać się w ten sposób, iż w miarę „rozlewania się“ wysokiej koniunktury na całość gospodarstwa światowego odpadałyby kolejno wszystkie te przejawy interwencjonizmu, jakich świadkami jesteśmy w tej chwili. Zniesienie ograniczeń dewizowych rozwikłało by całkowicie problemy „niebezpiecznych“ autarchii. Zniesienie kontyngentowania obrotów międzynarodowych i obniżenie ceł podniosłoby handel światowy. Włączyłby się w ten obrót automatycznie niejako międzynarodowy obieg kapitałów, a w związku z nim — kiedyś w dalekiej przyszłości — dałyby się automatycznie niejako rozwiązać problemy migracyjne. We wszystkiem tem chodziło zawsze tylko o uchwycenie równowagi *wyjściowej*, od której — po chaosie kryzysowym i pokryzysowym — możnaby było „zacząć“. Reszta miała się stworzyć już samoczynnie. Tymczasem w tej chwili zasada regulowania, reglamentowania niejako owej przyszłej „prosperity“ wysuwana jest *z góry* już przez tych, którzy w gruncie rzeczy „nie powinni by“ właśnie jej wysuwać.

Gospodarstwo światowe skomplikowało się. Skomplikowało się dlatego, że skomplikowały się wewnętrznie gospodarstwa narodowe. Jeśli w nich samych nie ma już miejsca na swobodną grę sił gopsodarczych, to nie ma na nią miejsca i w stosunkach pomiędzy nimi. Swego czasu, kiedy komplikacji wewnętrzno - gospodarczych (w dzisiejszym rozumieniu tego słowa...) nieomal nie było, nie istniał umiarkowany nawet protekcjonizm celny. Z końcem ub. stulecia „czysty“ liberalizm zaczął mijać. Wojna światowa przyśpieszyła przeobrażenia wewnętrzne w gospodarstwach narodowych, a przez to i komplikacje międzynarodowe. Już w 1928 r. u zenitu koniunktury nie można było doprowadzić do całkowitego zniesienia kontyngentowania przywozu. Depresja 1929 — 1932 r. ponownie dała bodźca do komplikacji i przemian. I kiedy po niej automatyzm gospodarczy (który przecież ciągle jeszcze „na dnie“ istnieje — i istnieć musi...) dał znak życia, wynosząc wskaźniki gospodarcze świata niejednokrotnie już na przedkryzysowe poziomy, okazało się, że jest jeszcze trudniej niż przed 10-u laty. Trzeba reglamentować nie tylko dół, ale i górę cyklu koniunkturalnego.

I dlatego o wiele bardziej przypada nam do przekonania opinia tego wybitnego francuskiego ekonomisty, który po załamaniu się „boom'u“ surowcowego pisał o przyszłości gospodarstwa światowego, co następuje:

„Trzeba dobrze zrozumieć, że w latach, które nadejdą, raczej będzie się miało do czynienia z przeobrażeniem kapitalizmu i poszukiwaniem nowych podstaw powszechnej równowagi niż ze świetną (brillante) fazą spekulacji, analogicznej do zwyżkowych cyklów dawnych“.

U W A G I

JESZCZE O SAMORZĄDZIE

Po raz pierwszy „Gospodarka Narodowa“ poświęciła — w sposób zorganizowany — więcej uwagi problemowi gospodarki samorządowej. I jeśli kilku autorów zabrało głos na samym wstępie dyskusji, wnosić należy, że problem ten jest ostry. Niewątpliwie, jest ostry politycznie. W walce o fragmentaryczną, niestety reformę finansów samorządowych, wwiązane zostały wielkie siły. A merytorycznie? To już dłuższa sprawa.

Zwróćmy uwagę na dwa momenty, szczęśliwie zbiegające się w czasie. A więc poprawę koniunktury, i idący w ślad za tem wzrost dochodów samorządowych, oraz zakończenie prac nad oddłużeniem samorządu. Nie należy przeceniać wyników oddłużenia. Błędem jednak jest rugować ich wagę pozytywną. Tem bardziej, że podstawą oceny zdolności płatniczej oddłużanych związków były dochody z lat niewątpliwie najgorszych dochody, oceniane ostrożnie. I temu tylko przypisać można głębię cięcia oddłużeniowego, które obniżyło sumę ciążących na samorządzie zobowiązań o ok. 300 mil. zł, a realny wydatek na obsługę zobowiązań z 53.4 mil. zł do 35.8 mil. zł rocznie.

Nie oznacza to bynajmniej, że oddłużenie rozwiązało wszelkie problemy gospodarki samorządowej. W większości wypadków umożliwiło wegetatywną gospodarkę. A więc zrównoważenie budżetu — na skromnym poziomie wydatków, kosztem redukcji obciążeń. Były jednak wypadki — i to dość liczne, w których nawet całkowite ścięcie zobowiązań nie umożliwiało zrównoważenia budżetu: wypadki strukturalnej deficytowości. Oddłużenie usunęło, względnie ściślej, stworzyło warunki dla usunięcia deficytów, powodowanych przeinwestowaniem i przekredytowaniem w minionych latach wysokiej koniunktury. Niezałatwiony definitywnie pozostał jedynie problem miast ulenowskich; tu są potrzebne dalsze posunięcia. I ponadto związków strukturalnie deficytowych; a zatem 2 miast wydzielonych (Zawiercie i Żyrardów), miast niewydzielonych i powiatowych związków samorządowych. Przyczyny deficytowości jednostek są paradoksalnie różne. Pomijając związki powiatowe, gdzie deficyt najczęściej płynie ze zbytniego ograniczenia obszaru, gdzie zatem rozwiązać gospodarczo (nie politycznie) można sprawę przez łączenie niesamowystarczalnych jednostek—w stosunku do miast napotykamy na dwie diametralnie różne przyczyny. A więc zamieranie ośrodka, silne osłabienie tętna wytwórczości przemysłowej, a z drugiej — zbyt szybki rozrost, i związane z tem zwiększenie potrzeb ludności.

Nie przeceniajmy jednak wagi problemu strukturalnej deficytowości. Jest on poniekąd stały; wymaga ze strony władz nadzorczych uwagi i zorganizowania pomocy (fundusz wyrównawczy). Ilościowo nie jest duży.

A zatem w masie oddłużenie stworzyło warunki dla zrównoważenia gospodarki zwyczajnej. Podkreślmy z naciskiem: na poziomie ledwie wegetacyjnym. Przy danej stopie wymagań sprawa równowagi budżetów zwyczajnych jest w zasadzie załatwiona. To jednak nie jest wszystko. Pozostaje sprawa inwestycyj. Zwróćmy więc uwagę, że inwestowanie jest normalną funkcją samorządu. Pomijając sprawę wyrównywania braków w wyposażeniu, nieustannie należy inwestować, by nie obniżyć poziomu zaspokojenia potrzeb. Zwiększa się liczba ludności — trzeba więcej szkół, przychodni, łóżek w szpitalach; wybudowano nowe domy, trzeba wykonać dojazdy, doprowadzić elektryczność, wodę i t.p. A poza tem, zdaniem chyba powszechnym, trzeba podciągać poziom wyposażenia naszych zbiorowisk.

Może w tem pomóc koniunktura. Nie jest to jednak pewne. Wpływy niewątpliwie rosną. Przy stałych wydatkach rosną marże inwestycyjne. Ale bynajmniej nie jest pewne, czy wydatki będą stałe. Nie ma żadnej pewności, czy nie będzie rósł budżet zwyczajny, nawet w dziale nieprodukcyjnym — wydatków administracyjnych. Ponadto życie może wysunąć inne potrzeby; dajmy na to szerszego dożywiania dzieci. I nadwyżki inwestycyjne mogą nawet zmaleć.

Powstaje zatem ostry problem zbudowania tamy, hamującej rozrastanie się budżetów administracyjnych. Możnaby to osiągnąć przez premiowanie wysiłków inwestycyjnych związków samorządów — z funduszów centralnych, dajmy na to z Funduszu Pracy. Pobulziłoby to organy stanowiące do ograniczania wydatków nieprodukcyjnych, wzmogłoby dynamikę inwestycyj.

Tego rodzaju posunięcie wymaga z jednej strony nadwyżek inwestycyjnych w budżetach związków samorządowych, z drugiej — funduszu inwestycyj samorządowych; a zatem konkretnie — zwiększenia dochodów samorządu i zmiany metod rozprowadzania środków przez Fundusz Pracy. Rozumiemy, niestety, że zwiększenie dochodów nie może być wielkie; uprzemysławiać kraj i zbroić równocześnie — to już bardzo dużo. W każdym razie zwiększenie dochodów polegać powinno bądź na rozszerzeniu uprawnień podatkowych samorządu, bądź na zwiększeniu udziału w podatkach istniejących. Nie można dopuścić tak łatwego sposobu, jakim jest generalna zwyżka taryf na przedsiębiorstwa komunalne. Nie można zwiększać obciążeń podatkami pośrednimi, mimo, że jest to najłatwiejsze.

A zatem problem małej reformy finansów samorządowych jest pilny merytorycznie.

r.

ATMOSFERA PRACY

Podstawą gospodarowania jest mimo wszystko człowiek. Piszemy: „mimo wszystko", albowiem zbyt często się zdarza, iż w dobie gospodarki planowej, czy regulowanej na plan pierwszy wysuwają się — nie tyle w rzeczywistości, co we frazeologii — motywy niekiedy tak ogólnikowe i tak abstrakcyjne, że aż budzą wątpliwości co do swego istotnego sensu i — celu.

Gospodarka materiałem ludzkim nie stoi, zwłaszcza w Polsce, na wysokości zadania. Naukowa organizacja pracy najczęściej akcentuje pracę, a nie pracownika; ten ostatni jest w jej ujęciu przedmiotem, nie podmiotem. Człowiek staje się cząstką maszyny, obojętne: fabrycznej, sklepowej czy biurowej. Dają mu do zrozumienia, że bardzo łatwo (wszak cierpimy na przeludnienie i na bezrobocie!) można go wyrzucić na szmelc, zastąpić inną śrubką. Robią zeń królika doświadczalnego, dokonywują na nim wiwisekcji — i, broń Boże, krzyczeć, protestować lub proponować inne załatwienie sprawy. Od reorganizacji są centralne biura planowania, komórki („jaczejki") do spraw personalnych, „trusty mózgów", rozkazujących mięśniom.

Atmosfera, otaczająca pracę zarobkową, pozostawia dużo do życzenia. Odnosi się to zwłaszcza do urzędów i instytucji państwowych, w których „służy się" nietylko dla chleba, ale i dla idei, dla zaszczytu (tak przynajmniej twierdzą niektórzy). Trzeba jednak oddać sprawiedliwość władzom centralnym, t. zw. trzeciej instancji, i stwierdzić, że stosunki, jakie tam panują, są jeszcze znośne, niekiedy nawet zupełnie dobre. Stwarza to poniekąd dalszy przywilej dla zatrudnionych w nich pracowników, ale nie jest on winą, lecz zasługą kierownictwa.

Zupełnie inaczej jest we władzach I i II instancji, w urzędach, instytucjach i biurach „podwładnych", położonych peryferyjnie, w „terenie" i t. p. Rzecz prosta, nie brakuje i tutaj placówek, dbających o należytą atmosferę pracy. Ale jakże często ma się do czynienia z warunkami pracy takimi, jakichby nie wytrzymali robotnicy fabryczni. Przyczyny i objawy takiego stanu rzeczy są rozmaite. Wystarczy zacytować kilka przykładów.

Rzecz dzieje się w kolejnictwie. Setki młodych ludzi, posiadających wyższe studia i nie mniej wysokie aspiracje i ambicje (o czym się w danym wypadku zapomina), napróżno liczą na awanse, na pójście w górę, na poprawę bytu. Ich możliwości awansowe są skurczone, albowiem pierwszeństwo do wyższych kategorii, szczebli i t. p. mają wysłużeni wojskowi, częstokroć byli podoficerowie. W konsekwencji takiej „dalekowzrocznej" polityki personalnej pp. ex-wachmistrze zajmują stanowiska referentów, otrzymują odpowiednie (t. zn. wyższe) pobory, ale faktyczną pracę wykonywują i odpowiedzialność za nią biorą pp. inżynierowie, prawnicy i ekonomiści, „zaszczyceni" stanowiskami pomocników, podreferendarzy, adiunktów i tak dalej w tym guście. Rezultat bywa dwojaki: jedni z tych fachowych pomocników korzystają z pierwszej lepszej okazji, by „prysnąć" do mniej zaszczytnej, ale umiejętniej traktującej człowieka służby, i w ten sposób kolej pozbywa się bardziej wartościowych pracowników, drudzy zaś — słabsi — tracą chęć wybicia się, powszednieją, pospolicieją, płycieją i zamieniają się stopniowo w banalnych a zgorzkniałych „gryzipiórków", czyniąc z P. K. P. maszynę ciężką, apatyczną i biurokratyczną.

Że opisany przykład nie jest faktem oderwanym, lecz fragmentem powszechnie stosowanej metody, świadczy ostatnia nowelizacja ustawy o zaopatrzeniu inwalidzkim. Z dniem 1 lipca wszyscy pracodawcy, tak prywatni, jak i publiczni, obowiązani są zatrudniać na każdych 33 pracowników lub pracownic 1 inwalidę wojennego lub wdowę po poległym wojskowym lub inwalidzie. A przecież inwalidów wojennych mamy w Polsce przeszło 70.000, wdów zaś z górą 50.000, więc istnieje obowiązek zatrudnienia tych 120.000 osób w momencie, kiedy bezrobotnych, poszukujących pracy, jest ponad 400.000. Jeżeli „szary człowiek" uzna tę nowelizację za dowód troski o prawidłowy awans społeczny szerokich mas, będzie to dowodem, że żyjemy w epoce pomieszania pojęć. I dlatego skłonni jesteśmy przypuszczać, że wnioski będą zupełnie odmienne...

Jednym z ulubionych chwytów w gospodarce materiałem ludzkim są kary dyscyplinarne i zwolnienia. I jedne i drugie wymierzane są dość pochopnie, bez dokładnego, a uprzedniego zbadania „przestępstwa", niekiedy tylko po to, aby władza zwierzchnia mogła się wykazać energią i szybkością w tępieniu nadużyć. Element pracowniczy niższych instancji, zwłaszcza mający do czynienia z pieniędzmi, żyje stale pod pręgierzem. Wystarczy anonim, aby pracownikowi wytoczyć dyscyplinarkę i — wkrótce ją umorzyć. Ale przecież w opinii publicznej zawsze pozostanie osad podejrzeń, bo „nie ma dymu bez ognia". Zdarza się przytem niejednokrotnie, iż prokurator nie znajduje cienia przestępstwa, a mimo to delikwent wpada w szpony komisji dyscyplinarnej, która aplikuje taką czy inną karę, aż do zwolnienia ze służby włącznie. A że bywają wypadki, kiedy zwolnienie to dziwnym zbiegiem okoliczności następuje na kilka dni, tygodni lub miesięcy przed uzyskaniem pełnej „wysługi lat", przy czem wyrok komisji dyscyplinarnej opiewa na utratę praw emerytalnych, więc musi powstać podejrzenie, czy aby tłem masowych „czystek" i sanacji aparatu urzędniczego nie są czasami... swoiście pojęte oszczędności budżetowe. Tylko czy to jest właściwa metoda?...

Czy nie zdarzają się i takie fakty, że urzędnik, który zaoszczędzone w jednej pozycji budżetowej kwoty zużył z pożytkiem dla sprawy w innej pozycji tego samego paragrafu, jest postawiony w stan oskarżenia o ciężkie przestępstwo, zawieszony w urzędowaniu, usunięty bez prawa do emerytury lub aresztowany? Czy Najwyższa Izba Kontroli nie robi kwestii stanu za to, że dany urząd nabył atramentu do wiecznych piór, nieprzewidzianych w okresie, kiedy tak dobrze pisało się gęsimi piórami? I czy aby wydatki reprezentacyjne nie są przypadkiem większe od owych rzekomych nadużyć, popełnianych przez ludzi, którzy w całkowitej zgodzie z sumieniem mieli nieszczęście zahaczyć się o jakiś zdradliwy przepis, wątpliwą interpretację, dwuznaczne polecenie?...

Atmosfera pracy w Polsce zanadto obciążona jest balastem zakłamania i frazesu, z poza których trudno

dojrzeć prawdziwe oblicze konfliktów, rzekomo ideowych, w gruncie rzeczy — osobistych. Atmosferze tej nie poświęca się dostatecznej ilości uwagi. Zwraca się jej więcej na kolor płotów, aniżeli na psychikę człowieka pracującego i ponoszącego odpowiedzialność. Nie docenia się czynnika zaufania, zapomina o znaczeniu awansu społecznego. Wytwarza się za wiele fermentu i, co gorsza, kwasów lub goryczy. Lekceważy się człowieka pozornie w imię ideałów przez duże „i" (nawet, gdyby tak było naprawdę, trudno by usprawiedliwić to lekceważenie), w rzeczywistości zaś z powodu głupoty, nieudolności, własnej słabości lub złej woli tych, którym się udało wejść o jeden szczebel wyżej. Tą drogą jednak „podciągnąć Polskę wzwyż" będzie chyba dość trudno.

k. b.

LISKÓW

Cudzoziemiec, którego wiedza o Polsce ograniczałaby się do znajomości kilku tablic z Małego Rocznika Statystycznego, który znalby tylko cyfry, obrazujące odsetek ludności rolniczej w Polsce, rolę produkcji rolnej w dochodzie społecznym i w obrocie wewnętrznym i zewnętrznym itp., z pewnością suponowałby, że Polska jest krajem, któremu ton nadaje wieś, że jest krajem chłopskim. My, którzy znamy rzeczywistość polską, zdajemy sobie dobrze sprawę, jak uproszczone byłoby takie ujęcie. Raczej można byłoby zaryzykować twierdzenie wręcz przeciwne, że w Polsce kwestie wsi, kwestie życia i pracy warstwy chłopskiej, stanowią pewnego rodzaju margines w stosunku do centralnych zainteresowań tego, co nazwalibyśmy opinią społeczeństwa.

Oczywiście błędnem byłoby rozumowanie takie, jakie usiłowaliśmy podsunąć fikcyjnemu cudzoziemcowi, t. zn. oparcie wniosków wyłącznie na cyfrach, ilustrujących liczebność wsi i jej udział w produkcji. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że ciężar gatunkowy skupisk miejskich i tych problemów, które z istnieniem i pracą tych skupisk się łączą, jest i musi być większy niżby to wynikało z „odsetkowych obliczeń". Formy organizacyjne życia miejskiego, wyższy stopień zespołowości tego życia, bardziej udoskonalona organizacja podziału pracy, łatwość kontaktu, wyższy poziom dochodu na głowę w miastach niż na wsi, itp., itp. — wszystko to sprawia, że dynamika miast jest wysoka, że ich wpływ i wkład w kształtowanie się całości życia społecznego, jest wyższy niżby to z prostego zestawienia cyfr ludności wynikać mogło.

Nie ma w tem nic gorszącego, zwłaszcza w kraju, który musi sobie stawiać przyśpieszenie procesu uprzemysłowienia jako jedno z najdonioślejszych zadań. Niepokojącym natomiast i niewątpliwie niebezpiecznym jest stan taki, kiedy życie wsi biegnie w olbrzymiej mierze poza świadomością polityka miejskiego, kiedy życie miejskie nie wykazuje dostatecznej łączności z procesami zachodzącymi na wsi, kiedy — jakeśmy to w wyjaskrawieniu powiedzieli wyżej — wieś staje się pewnego rodzaju marginesem.

W czem widzimy przykłady takiej postawy? Jednym z najlepszych przykładów może być to, że ilekroć toczy się dyskusja na temat zadań programowych Polski, to o zagadnieniach wiejskich większa część uczestników takiej dyskusji mówi pod kątem sprawy rynku dla produkcji przemysłowej, rąk roboczych dla przemysłu itd. — tak jakby wieś sama w sobie nie stanowiła określonej wartości, jakgdyby mogła być tylko środkiem dla osiągnięcia celu. Jeszcze prostszym dowodem słuszności tej tezy jest porównanie skali wiadomości o zagadnieniach wiejskich i miejskich zarówno wtedy, gdy chodzi o człowieka ulicy, jak wtedy gdy chodzi o specjalistów w takiej lub innej dziedzinie.

Podczas gdy kraje niepomiernie dalej posunięte w kierunku urbanizacji, jak np. Czechosłowacja, Szwajcaria lub Dania, pozostały krajami rolniczymi, krajami chłopskimi, Polska jakgdyby zapomniała o swej rzeczywistej rzeczywistości, żyjąc przede wszystkim w kierunku zagadnień życia miejskiego, zostawiając niejako wieś samej sobie.

Nie wnikamy w przyczyny, które się na to złożyły. Niewątpliwie przyczyną i skutkiem jednocześnie takiego stanu rzeczy jest nikła rola inteligencji pochodzenia chłopskiego. Bez wątpienia również przeludnienie wsi, nakazując z jednej strony zwrócić się „frontem do wsi", z drugiej zmniejsza — jeśli się tak wyrazić można — agresję wsi, utrudnia wywarcie dostatecznego wpływu na całokształt życia. Skutki takiego stanu rzeczy są przeróżne. Chcemy zwrócić uwagę na kilka z nich, bynajmniej nie twierdząc, że te są właśnie najważniejsze. Jeden — to pewne uporczywe błędy w naszej polityce gospodarczej. Jeśli nawet będziemy mniemać, że polityka gospodarcza jest wynikiem gry interesów grupowych i że sprawność organizacyjna poszczególnych grup przede wszystkim decyduje o kierunku tej polityki, to i wtedy nikt chyba nie zaprzeczy, że potężnym moderatorem tej gry interesów są pewne prądy opinii, przerastające swą siłą wpływ najlepiej zorganizowanych grup czy najbardziej utalentowanych jednostek.

Takiego moderatora, jeśli chodzi o interesy rolnicze, brak jest w naszej opinii i dlatego możliwe jest niejednokrotnie całkowite przechodzenie do porządku dziennego nad interesami produkcji rolnej, dlatego trzeba bądź wyjątkowego wysiłku jednostek czy grup rolniczych, bądź też wyjątkowego pogorszenia sytuacji rolnictwa, by przywrócić należytą ocenę (w mieście) zagadnieniom rolniczym. Drugim skutkiem, na który jak najbardziej należy zwrócić uwagę, jest kwestia odwracania się wsi do miasta, — antymiejskie, antyurzędnicze, antykupieckie, a nieraz nawet antyrobotnicze nastroje na wsi. Nastroje takie krystalizują się niekiedy aż w postaci programu odcięcia się wsi od miasta, przeciwstawienia sobie tych dwu elementów gospodarstwa społecznego.

W tych warunkach wystawie zorganizowanej w Liskowie przypadła zupełnie specyficzna i wyjątkowa rola. Rola bezwątpienia wykraczająca poza intencje samych organizatorów. Rola wystawy polega bowiem nietylko na tem, że eksponaty (do rzędu eksponatów musimy zaliczyć i samą wieś Lisków) zostaną obejrzane przez zwiedzających ze wsi; nie mniejszą rolę odgrywa również to, że w okresie wystawowym Lisków stał się punktem przyciągającym

uwagę prasy, stał się celem wycieczek inteligencji miejskiej. Nie chcemy przeceniać znaczenia wystawy pod tym kątem, zdajemy sobie sprawę, że zasięg wpływów w tym kierunku jest bądź co bądź szczupły. Mieliśmy jednak okazję obserwować czy to przez pryzmat głosów prasy czy też głosów inteligentów, którzy zwiedzili wystawę, że w świecie miejskim samo środowisko Liskowa i to, co w okresie wystawy zostało na tym terenie zorganizowane, wywołuje zdumienie, wywołuje niespodziankę. Zdumienie to daje się streścić w powiedzeniu: „tak dużo się dzieje na wsi, a tak mało o tym wiemy". Bezwątpienia gdyby wystawa analogiczna zorganizowana była w mieście, frekwencja inteligencji miejskiej byłaby większa, sądzę jednak, że efekt byłby niepomiernie słabszy niż wtedy, kiedy wystawę zorganizowano we właściwem dla niej środowisku życia wiejskiego. Dzięki zorganizowaniu wystawy w Liskowie, jej rola propagandowo - wychowawcza jest również niepomiernie większa w stosunku do drugiej, ważniejszej grupy zwiedzających — chłopów. Obserwując tłum, zwiedzający pawilony wystawowe i na równi z nimi oglądający domy Liskowian oraz instytucje społeczne Liskowa, odczuwa się wyraźnie specyficzną atmosferę, na którą w równej mierze składa się zaspakajanie pewnych potrzeb intelektualnych, zainteresowanie treścią eksponatów, jak i element pewnej świąteczności czy odpustowości, zainteresowanie zewnętrzną stroną wsi, wystawy, tłumu. Dlatego też wyraźnie wyczuwa się, że dla zwiedzających chłopów wystawa nie jest czemś „na urząd", czemś oderwanem od ich życia, że wręcz przeciwnie jest tylko kondensacją elementów wśród tego życia rozproszonych.

Jak z powyższego widać, uznajemy rolę propagandowo - wychowawczą wystawy za spełnioną w sposób właściwy i skuteczny. Z kolei kilka słów o samej treści wystawy, rozpatrywanej pod kątem, od którego rozpoczęliśmy uwagi nasze, pod kątem aktywizacji wsi i wywalczania przez nią właściwego miejsca w społeczno - gospodarczym życiu kraju. To właśnie, nie co innego, jest istotną treścią i wartością wystawy, która pod nazwą „Praca i Kultura Wsi" demonstruje nam przeróżne formy i metody, przeróżne odcinki organizowania pracy wsi. Niezmiernie słuszną rzeczą jest przede wszystkim objęcie przez wystawę — czasem może w sposób wyrywkowy, ale bądź co bądź całości zagadnień życia wiejskiego. Nie ulega przecież wątpliwości, że w życiu wsi postęp materialny i kulturalny splatają się ze sobą w ten sposób, iż byłoby naprawdę zbyteczną zabawką intelektualną ustalanie, co w tym łańcuchu zjawisk jest przyczyną, a co skutkiem. Z pewnością też jednostronnie ujęte ograniczanie się czy to do spraw oświatowych, czy też gospodarczych, nie mogłoby dać tego ogólnego, a zgodnego z prawdą wrażenia, — wrażenia, iż owa nieznana miejskiemu światu wieś pomimo świeżo przebytego, uciążliwego kryzysu, znajduje się w marszu naprzód. Wystawa wskazuje na coś więcej jeszcze — na wielość metod pracy nad postępem wsi. Dla danej fazy jest to zapewne szczęśliwe, równocześnie jednak wskazuje, że metody tej pracy nie są ostatecznie jeszcze skrystalizowane. Można jednakowoż twierdzić na zasadzie pobieżnego nawet przejrzenia poszczególnych pawilonów, że metoda pracy patronackiej, pracy od góry, jest dziś w odwrocie. Wystarczy porównać pawilon Koła Gospodyń Wiejskich z pawilonem Ziemianek, by dostrzec, o ile szerszy, o ile więcej z rzeczywistą rzeczywistością związany nurt posiada praca, stawiająca na własne siły wsi od pracy opartej o zasadę patronacką. Sama wieś Lisków ilustruje nam jeszcze jedną metodę, — metodę bez wątpienia wyjątkową i niepowtarzalną, tak jak wyjątkową jest indywidualność twórcy Liskowa ks. Blizińskiego. Znów nawet pobieżna obserwacja wyraźnie wskazuje, że czegobyśmy się nie tknęli w Liskowie, to w każdym z uzyskanych osiągnięć lwia rola przypada tej samej jednostce, w stosunku do której rola wsi bodajże nieraz sprowadzała się do statystowania. Wyjątkowy niewątpliwie również charakter posiada rozrost instytucyj społecznych, takich jak sierociniec, wyjątkowy był wreszcie w rozwoju Liskowa dopływ środków pieniężnych z zewnątrz. Jeśli mówimy o wyjątkowości, nie mamy na myśli sztuczności — Lisków nie jest wsią na pokaz, mimo, że niewątpliwie tylko w ograniczonej liczbie wypadków postęp wsi będzie się mógł odbywać w podobnych do Liskowa warunkach.

Wystawa — rzecz prosta — objęła tylko zagadnienia życia samej wsi. Jak powiedzieliśmy wyżej, w tym zakresie wyraźnie punkt ciężkości przenosi się na własny wysiłek wsi, na metodę, samodzielnej pracy od podstaw. Nawracając na zakończenie uwag niniejszych do poruszonego na wstępie problemu udziału wsi w kształtowaniu oblicza całego życia, a nietylko wiejskiego odcinka, zastanówmy się chwilę, czy i w tej dziedzinie wieś zdobywać będzie należny jej wpływ, należną jej rolę na podobnej drodze. Niewątpliwie tylko przez stopniowe narastanie inteligencji chłopskiego pochodzenia osiadłej w miastach i na wsi, tylko przez wyrobienie działaczy reprezentujących prawdziwe interesy wsi, a zdolnych do wnikania w zagadnienia ogólno - państwowe, wieś osiągnąć może należne jej miejsce. Chodzi jednak o to, czy ten marsz wsi napotykać będzie na ułatwienia, czy też na przeszkody. W tym ostatnim wypadku marsz ten mógłby się zmienić w walkę, sam proces mógłby zostać spaczony — z najwyższą szkodą dla wsi i dla całości kraju.

c. k.

JÓZEF KRONSTEIN

O CELOWOŚCI GOSPODARCZEJ „TRANZAKCJI WIĄZANYCH“

Mówiąc o t. zw. „tranzakcjach wiązanych” częstokroć nie odróżnia się istoty tych tranzakcyj od stosowanej u nas obecnie techniki ich rozwikływania. Zaś rozróżnienie takie jest konieczne.

Problem „tranzakcji wiązanych”, a więc tej specyficznej formy wymiany handlowej z krajami przeważnie zamorskimi, jaką wykształcił nasz system reglamentacji handlu zagranicznego, wciąż jeszcze uchodzi za sporny, stanowiąc kość niezgody pomiędzy różnemi grupami interesantów gospodarczych. „Tranzakcje wiązane“ zwalczane są zaciekle i konsekwentnie pod hasłem rugów zbędnego komplikowania i biurokratyzowania systemu reglamentacyjnego, którego stanowią rzekomo „ukoronowanie“ w ujemnym, antyracjonalnym gospodarczo, słowa tego znaczeniu.

Zadaniem niniejszego artykułu jest wykazanie niesłuszności powyższych zarzutów i udowodnienie, że „tranzakcje wiązane“ stanowią cenne, sprawne i celowe ogniwo reglamentacyjnego łańcucha, dźwigającego dziś na sobie obrót towarowy Polski z zagranicą.

Istota „wiązania“.

Tranzakcje te polegają na wiązaniu indywidualnych tranzakcji importowych z eksportowymi — w różnych relacjach — jak 1 : 1; 1,3 : 1; 1.5 : 1 etc. przy zachowaniu przeważnie kryterium jednokierunkowości t. zn. zasady, że przywóz pochodzi z kraju przeznaczenia związanego z nim eksportu.

Sens kalkulacyjny tranzakcji wiązanej polega na wyrównaniu dopłaty do eksportu („pionierskiego“, bądź chronicznie deficytowego) przez poważne agio, wynikające z różnicy pomiędzy notowaniami światowymi artykułów kolonialnych i szeregu egzotycznych surowców przemysłowych, a ich cenami polskimi, ustabilizowanymi na dużo wyższym poziomie.

Wyższość „tranzakcji wiązanej” nad klasyczną kompensacją leży przede wszystkim w łatwości jej skojarzenia. Klasyczna bowiem tranzakcja kompensacyjna wymaga posiadania precyzyjnego aparatu organizacyjnego w 2-u krajach, poważnych kapitałów na sfinansowanie obydwu transz kompensacji, unieruchomienia tych kapitałów na czas dłuższy, znakomitej znajomości obcych rynków, ich zwyczajów, wymagań, cen i kredytu. Same preludia techniczno-handlowe i administracyjne muszą tu trwać bez mała pół roku, a więc taki właśnie okres, w którym zgodnie z praktyką Ministerstwa Przemysłu i Handlu „tranzakcja wiązana” musi być w całości załatwiona i zlikwidowana (związana i rozwiązana). Ciężki aparat kompensacji nadaje się przy tem raczej do wielkich tranzakcji, gdzie jedną przynajmniej transzę kompensacyjną stanowi masowy eksport (import) jednorodzajowego standaryzowanego surowca lub półfabrykatu, poręczna zaś i mniej skomplikowana tranzakcja wiązana odpowiada szczególnie potrzebom średniego eksportu i importu w ramach reglamentacji towarowej. Dla uświadomienia sobie rygorystyki biurokratycznej, nieodzownej przy kompensacji w klasycznej jej formie, warto przytoczyć — zresztą oczywiście w charakterze jaskrawego przykładu — słynną kompensatę 20 ton wełny australijskiej na niemieckie zabawki mechaniczne w 1936 r.: dla przeprowadzenia tej tranzakcji trzeba było wypełnić w Niemczech 680 (sic!) blankietów i formularzy urzędowych.

Podnoszone więc z różnych stron projekty, aby zlikwidować instytucję „tranzakcji wiązanych” i zastąpić je zwykłą kompensacją, są najzupełniej nieżyciowe.

Celowość gospodarcza tranzakcji wiązanych.

W obecnym momencie trudno jeszcze o dane statystyczne dokładnie obrazujące udział tranzakcji wiązanych w naszym obrocie handlowym; przypuszczalnie wynosi on z górą 5% całej wymiany towarowej Polski z zagranicą (importu wraz z eksportem).

Ponieważ wywóz i przywóz, tranzakcjami temi objęty, nie dałby się zrealizować żadną inną drogą, bo eksport byłby deficytowy, a import — nie pomieściłby się w kontyngentach — uznać należy tem samem „tranzakcje wiązane“ za środek bezdewizowego zwiększania naszego obrotu handlowego, co już samo przez się — w ramach założeń istniejącego systemu reglamentacyjnego — wystarcza dla uzasadnienia racji bytu tych tranzakcyj w uprzemysławiającym się kraju.

Tranzakcje wiązane stanowią przy tem dogodny instrument polityki zewnętrzno-gospodarczej państwa, umożliwiając dowolne intensyfikowanie i kurczenie wywozu i przywozu poszczególnych krajów. Nie tranzakcja jednostronna, którą kraj importujący uważa za poświęcenie, ani też żmudna i skomplikowana kompensacja, lecz właśnie tranzakcja wiązana, opierająca się na wzajemnych superkontyngentach, lub specjalnych licencjach przywozowych, działa najskuteczniej w kierunku rozbudowywania wymiany towarowej pomiędzy państwami, obcymi sobie gospodarczo, lub związanymi tylko prowizoriami handlowymi. Podobnie ma się rzecz i w stosunku do krajów „konwencyjnych”, gdzie sztywny element plafonu kontyngentowego, równoważony jest przez dynamikę tranzakcji wiązanych.

Tranzakcje wiązane a eksport.

Doniosłość „tranzakcji wiązanych" dla polskiego wywozu — to chyba truizm. Dzięki przerzucaniu deficytu eksportowego na importera, możliwe się staje torowanie wywozowi pionierskiemu dróg, zupełnie mu na pozór niedostępnych; najgroźniejszy handicap naszego wywozu, którym są wysokie ceny surowców oraz półfabrykatów skartelizowanych oraz nadmiernie drogi kredyt produkcyjny i eksportowy — zatraca się w kalkulacji „tranzakcji wiązanej", umożliwiając poważną intensyfikację wywozu i to bez sięgania do sakiew Funduszu Wywozowego czy Rachunku Organizacji Zbytu; ani jeden bowiem grosz z kieszeni państwowej nie idzie na finansowanie tranzakcji wiązanych, skazanych wyłącznie na samofinansowanie ich przez „wiążących" importerów.

Zarzut, iż wywóz via tranzakcje wiązane — ów swoisty rodzaj „dumpingu kompensacyjnego" nie stanowi dla całokształtu gospodarstwa polskiego żadnego aktywu gospodarczego — byłby może słuszny w dobie spadających cen, kiedy to mocno deficytowy wywóz był wyrazem staczania się jakby po równi pochyłej; dziś jednak, gdy ceny światowe wykazują wzrost silny i stały, a przy dobrej polityce gospodarczej naszego Rządu, ceny wewnętrzno-krajowe wzrastać będą dużo wolniej — eksport nasz stopniowo postradać może cechującą go dziś deficytowość — w bardzo znacznym stopniu, a może i całkowicie.

Kwestia utrzymywania się więc na rynkach odbiorczych oraz zdobywanie za wszelką (rozsądną) cenę nowych terenów ekspansji wywozowej — aktualną jest dziś dla nas, jak nigdy.

Eksport pionierski, umożliwiony przez tranzakcje wiązane, wprowadza przy tem towar polski na rynki zupełnie dlań obce (i to zamorskie, z którymi mamy największe ujemne salda handlowe), przyzwyczajając odbiorcę do specyficznych jego cech, wyglądu, jakości, opakowania etc.

Najtańszy bowiem nawet artykuł eksportowy, przejść musi na drodze do masowego nań popytu, przez stadium „poznawania go" przez importera-hurtownika oraz „przyzwyczajania się doń" ze strony lokalnego konsumenta.

Tu więc, na terenie naszego wywozu, tkwią zasługi oddawane przez tranzakcje wiązane oraz większe jeszcze możliwości na przyszłość.

Finansowanie tranzakcji wiązanych.

Podkład tranzakcji wiązanych stanowi oryginalny wariant „funduszu eksportowego", ciążącego w tym wypadku na konsumentach odmiennej zupełnie branży. Gdy bowiem deficyt z eksportu węgla, olejów mineralnych, cukru etc. pokrywany jest przez krajowych odbiorców tych artykułów, a t. zw. cena krajowa zawiera w sobie zarazem i dodatek wyrównawczy na pokrycie strat eksportowych — to mechanizm finansowy tranzakcji wiązanej przerzuca dopłatę do wywozu artykułu przemysłowego lub rolniczo-hodowlanego na końcowych odbiorców towaru sprowadzonego via tranzakcja wiązana, a więc artykułów konsumcji luksusowej (według definicji Ministerstwa Przemysłu i Handlu), jak herbaty, kawy, owoców egzotycznych, świeżych i suszonych, win, kawioru etc., bądź też niektórych surowców przemysłowych, a więc: bawełny, wełny, skór surowych, juty, ziarna kakaowego i sezamowego, jelit zwierzęcych, sisalu itd. itd.

Możnaby oczywista potępiać za to tranzakcje wiązane, upatrując we wszelkich „funduszach eksportowych" element gospodarczo nieracjonalny, zakłócający harmonię na rynkach światowych, rodzący autarkię etc. Stanowisko to jednak, wymagałoby zmiecenia dziś z powierzchni ziemi chyba połowy całego handlu światowego, opartego właśnie na zasadzie „funduszu eksportowego" w tej, czy innej formie.

Sądzę zresztą, że obciążanie konsumcji luksusowej jest chyba gospodarczo racjonalniejsze, niż np. asekurowanie deficytów płynących z wywozu surowca węglowego, lub półfabrykatu naftowego — wysokiemi cenami krajowemi, zwalniającemi tempo uprzemysłowienia kraju, a utrudniającemi wywóz przetwórczy.

Obciążenie przy tem importowanego artykułu luksusowej (czy pół luksusowej) konsumcji, nie ulegającego żadnemu przetworzeniu, a więc nie kumulującemu dalszych zwyżek kosztów, uważać należy po prostu za rodzaj opłaty akcyzowej, pobieranej wyłącznie na cele popierania eksportu pionierskiego, a ściąganej bezpośrednio przez eksportera od importera przy każdej tranzakcji wiązanej.

Względy celowości gospodarczej wymagają oczywiście, by starać się o jak najmniejsze obciążenie dla sprowadzanych surowców przemysłowych (bawełna, skóry, garbniki, juta etc.), wiążąc je z eksportem mniej deficytowym, pozostawiając „wiązanie" z wywozem, wymagającym pomocy powyżej 10% — 15%, a czasem i powyżej 50% — dla artykułów natychmiastowego spożycia.

Tranzakcje wiązane a import.

Polskie przemysły przetwórcze, oparte o surowiec zagraniczny otrzymują z reguły mniejsze przydziały kontyngentowe, niżby tego wymagała dzisiejsza ich produkcja, abstrahując już od możliwości jej zwiększenia i intensyfikacji. Każdy więc dodatkowy kilogram surowca zagranicznego stanowi o możliwości kontynuowania wytwórczości.

Szczególnym dobrodziejstwem jest dopływ surowca z tranzakcyj wiązanych dla przemysłu średniego i niezrzeszonego; potężne bowiem placówki i zrzeszenia wielko-przemysłowe łatwiej wywalczyć mogą sobie regularny kontyngent, względnie awanse, zaliczki na przydziały przyszłe (tak więc np. trudniej jest o bawełnę i odpadki bawełniane fabrykom waty, niż członkom Zrzeszenia Producentów Przędzy Bawełnianej).

Nie sposób również przeoczyć szeregu dodatkowych korzyści, płynących z intensyfikacji (bezdewizowego) przywozu surowców przemysłowych i t. zw. „artykułów kolonialnych". Państwa - dostawcy tych artykułów nabierają zainteresowania dla rynku naszego, jako poważnego odbiorcy; w ślad za tem idzie stopniowe zacieśnienie stosunków handlowych, dobremu bowiem klientowi opłaca się otwierać w zamian kontyngenty na własnym rynku.

Podnosi się w równej mierze również przez wzrastającą konsumcję nasz standard of living, stabilizowany zaś na wyższym poziomie import artykułów kolonialnych pozwoli w przyszłości okroić kontyngenty przyznawane niektórym państwom na wwóz ich do Polski.

Nadzór nad prawidłowością i celowością tranzakcji wiązanych.

Mało kto uzmysławia sobie przez jak skomplikowany alembik kontroli rządowo- i samorządowo-gospodarczej przechodzą dziś tranzakcje wiązane. Otóż każda indywidualna „tranzakcja wiązana" uzyskać musi: 1) poparcie właściwej branżowo organizacji gospodarczej, 2) przychylną opinię właściwej terytorialnie Izby Przemysłowo-Handlowej, 3) poparcie Państwowego Instytutu Eksportowego, 4) przyjęcie jej przez Komitet Ścisły dla Spraw Tranzakcji Wiązanych, 5) zatwierdzenie przez Wydział Handlu Zagranicznego Ministerstwa Przemysłu i Handlu, 6) placet ze strony „Zahanu", 7) kontrolę Komisji Dewizowej i 8) wykonanie techniczne (t. zw. „rozwiązanie") przez Centralną Komisję Przywozową (referat kompensacyjny).

Gdyby więc chcieć podejść do problemu „tranzakcji wiązanych" z inicjatywą radykalnej reformy, należałoby raczej rozszerzyć owo administracyjne ucho igielne, przez które przepychać musi się ta nowa forma naszego handlu zagranicznego, niż bez słusznej po temu racji — zabijać zasłużonego wielbłąda, tak cenne dla nas dźwigającego ładunki.

Jak widać z powyższego, reprezentują „tranzakcje wiązane" pewne walory, które w ramach systemu reglamentacyjnego, w jakim dziś żyjemy, czynią to wiązanie względnie sprawną i elastyczną formą handlu zagranicznego — formą, która w każdym razie jest dużo lepsza i korzystniejsza dla nas, niż inne bardziej biurokratyczne, sztywne, skomplikowane odmiany kompensacji handlowej. Takie też jest na ogół stanowisko sfer gospodarczych wobec „tranzakcji wiązanych". Tylko część importerów i hurtowników zajmuje stanowisko przeciwne i domaga się likwidacji systemu wiązania. Jakież są istotne motywy tych żądań? Bardzo proste. Kalkulacja towaru otrzymanego z normalnego kontyngentu jest zupełnie odmienna od kalkulacji przywozu, dokonanego via tranzakcje wiązane. Przydział kontyngentowy, nie ponoszący poważnych obciążeń premiowych, jest bez porównania tańszy; z drugiej jednak strony przydziały kontyngentowe są dużo szczuplejsze od przywozu w ramach „tranzakcji wiązanych". Nie ulega więc kwestii, że w tych warunkach, przy ciągłych i gwałtownych fluktuacjach cen, w obliczu niepewności, czy nazajutrz li nie runie na rynek z jakiejś sfinalizowanej tranzakcji wiązanej duża ilość towaru, obniżając odrazu jego cenę o 10% — 15% (jak to zdarzało się kilkakrotnie np. z herbatą i pomarańczami) — zawód importera i hurtownika kolonialnego staje się trudny i niebezpieczny.

Nic więc dziwnego, że niektórzy przedstawiciele tej branży pragnęliby pracować w warunkach spokojniejszych, śniąc o prawdziwym kartelu artykułów kolonialnych, do czego doprowadziłoby niewątpliwie zniesienie „tranzakcji wiązanych" [1]). Kartel ten opierałby się na starych kluczach rozdzielczych, według których całe kontyngenty byłyby pożerane przez nieliczne koło „lwów importowych", zakwitłby wówczas, jak nigdy, handel pozwoleniami przywozu, a konsument płaciłby ceny dużo wyższe niż dziś, kiedy finansuje zarazem pionierski eksport. Prawda, że groźba deruty na krajowym rynku artykułów kolonialnych nie jest zjawiskiem dodatnim, lecz i wpływać nie może na wytyczanie nowych dróg polskiej polityki gospodarczej. W sytuacji dzisiejszej, wobec konieczności uprzemysłowienia kraju, obrony waluty i rozbudowy wymiany towarowej z zagranicą — względy na dobro handlu wewnętrznego ustąpić muszą interesom naszego handlu zagranicznego. I dlatego też tranzakcje wiązane ostać się powinny.

[1]) Ponadto tranzakcje wiązane, uelastyczniając rozmiary importu, działają redukująco na t. zw. „rentę kontyngentową". Zjawisku temu poświęcono specjalny artykuł w nr. 9 b. r. „Gospodarki Narodowej".

NOTATKI

RZĄD, PRZEMYSŁ I OPINIA PUBLICZNA

Na niedawnej konferencji eksportowej zgłaszane były pod adresem reprezentantów Rządu również dezyderaty przedsiębiorców wykraczające poza ściślejszy zakres zagadnień eksportowych. Między innemi dwu mówców zwróciło się do Ministra Przemysłu i Handlu z prośbą, aby oddziałał na sposób publicznego ustosunkowywania się do ich pracy. Ten dwugłos — na szczęście zupełnie niesharmonizowany — był tak charakterystyczny, że wydaje się nam zasługiwać na omówienie.

Głos Nr 1. P. Wachowiak imieniem przemysłu węglowego stwierdził, że opinia publiczna, a w szczególności niektóre organy prasowe, odnoszą się nazbyt krytycznie do całokształtu polityki ciężkiego przemysłu. Przemysł węglowy — a raczej przemysłowcy węglowi — nie przyznają racji swym publicystycznym przeciwnikom, uskarżają się na atmosferę jaką oni stwarzają, radziby cieszyć się w opinii publicznej sympatią i uznaniem. Niestety nie rozporządzamy stenogramem z obrad, aby dosłownie podać apel p. Wachowiaka do p. Ministra Przem. i Handlu o wpłynięcie na publicystykę gospodarczą i opinię, w kierunku uniemożliwienia jej ostrej krytyki i skłonienia jej do wypowiedzeń przyjaznych.

Istotnie, polityka naszego ciężkiego przemysłu zupełnie nie cieszy się sympatią ogółu. Istotnie, wpłynęła na to również prasa, występując niekiedy ostro, może nie zawsze objektywnie. Zważmy jednak, że przedmiotem krytyki był *całokształt* polityki ciężkoprzemysłowej.

P. Wachowiak więc *prosił o ingerencję Rządu* w całokształt stosunków między przemysłowcami a opinią publiczną, o poskromienie *krytyków.*

Narzuca się pytanie pod adresem liberalnie myślących przedsiębiorców: czy istotnie byłoby pożądane, aby interwencjonizm gospodarczy Rządu rozszerzył swój zasięg również na wolną krytykę tej lub innej polityki gospodarczej? Czy nie lepiej, aby węglowy czy inny ciężki przemysł obronił się sam, co mu się niewątpliwie i bez pomocy Rządu uda, jeżeli słuszność i rzeczowe argumenty są po jego stronie? A jeżeli słuszność i rzeczowe argumenty nie wystarczą dla obrony uciśnionej węglowej niewinności — czy Rząd powinien uruchamiać jakieś inne oręże obronne?

„Gospodarka Narodowa" ma opinię — w stosunku do licznych naszych autorów słuszną — pisma bynajmniej nie prowadzącego zasadniczej walki z interwencjonizmem gospodarczym. Ale w tych naszych pro- interwencjonistycznych nastrojach nie idziemy tak daleko, jak p. Wachowiak. W dziedzinie myśli gospodarczej i krytyki publicznej — jesteśmy zdecydowanymi zwolennikami wolnej gry sił.

Głos Nr 2. P. Przedpełski imieniem eksportu hodowlanego uskarżał się na publicznie podawane informacje o rzekomo złej jakości towaru eksportowanego, o nieporozumieniach organizacyjnych i tp., co bywa podchwytywane i wykorzystywane przez naszych zagranicznych konkurentów. Prosił więc mówca o uruchomienie norm prawnych, któreby pozwoliły ścigać osoby rozpowszechniające tego rodzaju *informacje.*

Przy pozornem podobieństwie tej prośby do postulatów p. Wachowiaka — istnieje między nimi zasadnicza różnica. Mianowicie różnica między *informacją*, wskazującą konkretny i wyodrębniony fakt, a *krytyką*, stanowiącą ocenę całokształtu czyjejś działalności. Swoboda myśli i oceny jest czemś zupełnie innem, aniżeli swoboda podawania — prawdziwych czy kłamliwych — faktów, które nie mogą wpłynąć na opinię, ale mogą wpłynąć na tranzakcję. W wypadkach zaś cytowanych przez p. Przedpełskiego sytuacja jest o tyle specjalna, że chodzi o handel zagraniczny, gdzie z reguły zachodzą szczególnie skomplikowane sploty interesów. Zdarzyła się kiedyś informacja prasowa o lokomotywie, jaką rzekomo mieliśmy sprzedać Sowietom do specjalnego pociągu Stalina; pociąg ten miał być umieszczoną na kółkach mieszaniną fortecy, katowni i buduaru. Rezultat takiej sensacyjki: obraza, przerwanie rozmów o dostawę rzeczywistych lokomotyw do rzeczywistych pociągów. W tych więc wypadkach powściągliwość języka jest szczególnie wskazana. I nie drażniłoby naszego interwencjonistycznego sumienia, gdyby wobec pewnego typu informatorów uruchomić normy prawne, podobne do tych, które strzegą lojalności w stosunkach kupieckich.

Państwo odgrywa czasem rolę „nocnego stróża", strzegącego spokoju i porządku w warsztacie, a czasem wtrąca się bezpośrednio w tok pracy warsztatowej. Interesującem jest, jak ci, którzy najgłośniej domagają się zredukowania gospodarczej roli Państwa do stróżowskich tylko funkcji — jak ci właśnie liberali chętnie wołają stróża do pomocy, gdy sami ze swym warsztatem nie mogą sobie poradzić. Do tego już przyzwyczailiśmy się. Jednak *jeszcze* nas razi, gdy wzywa się stróża, aby miotłą wspomagał czyjeś kłopoty dyskusyjne, aby ingerował w wymianę poglądów i myśli.

Fr. Kozłowski

KLAUZULA LIBERACYJNA

Klauzula liberacyjna bywa ujmowana dwojako. Niektóre umowy stypulują, że wpłata do instytutu rozrachunkowego zwalnia dłużnika z zobowiązania; inne przeciwnie uważają, że dłużnik został zwolniony z zobowiązania dopiero z tą chwilą, gdy wierzyciel zainkasował należność.

Ostatnia forma klauzuli liberacyjnej oparta jest na tradycjonalnym ujęciu zwolnienia z zobowiązań. Jeżeli mam dług względem p. X, to zwolnionym z tego długu zostaję dopiero o ile p. X. zainkasował umówioną sumę w umówionym terminie. O ile suma została przeze mnie zmniejszona — p. X. ma słuszną pretensję o resztę. O ile termin został przekroczony p. X. może mieć rozmaite pretensje: 1° o procenty za zwłokę, 2° utracone korzyści, jeśli utrata wynikła wskutek braku w ręku p. X. sum potrzebnych do dobrego interesu, 3° o straty moralne, jeśli

wskutek niewpłynięcia należności w terminie p. X. sam nie mógł podołać swoim zobowiązaniom i, dajmy na to, dopuścił do protestu weksle, 4° o straty materialne, jeśli musiał zasięgnąć na lichwiarskich warunkach pożyczkę pod zastaw nieuregulowanej przeze mnie należności, wreszcie 5° o różnicę kursu, o ile między dniem płatności, a dniem zapłaty nastąpiły wahania kursu waluty kraju dłużniczego a kraju wierzycielskiego, o ile dłużnik uiścił, lub zdeponował należność w walucie kraju dłużniczego.

Powyższe 5 rodzajów pretensji wierzyciela do dłużnika, związane z terminem płatności predysponuje tendencje państw do umieszczania klauzuli liberacyjnej bądź w pierwszej bądź w drugiej redakcji. Państwa wierzycielskie będą za klauzulą, w drugiej redakcji — państwa dłużnicze za pierwszą. Toteż Włochy i Szwajcaria w swych umowach clearingowych dają zwolnienie z zobowiązań dłużniczych dopiero z chwilą inkasa przez wierzyciela. Niemcy, przeciwnie, mają tendencję do zwalniania dłużnika z chwilą wpłaty do instytutu rozrachunkowego.

Szereg umów nie zawiera wcale tej klauzuli. O ile moi informatorzy nie mylą się, międzynarodowa opinia prawnicza skłonna jest w tych wypadkach uważać wpłatę do instytutu rozrachunkowego za zwalniającą z zobowiązania, albowiem dłużnik nie ma prawa płacić inaczej. Spełnił on swe zobowiązanie w zgodzie z ustawami swego kraju — ma prawo do pełnego i bezwzględnego zwolnienia z zobowiązań.

Pomiędzy tą opinią, a klauzulą w formie sit venia verbo, „wierzycielskiej" istnieje głęboka sprzeczność. Nie można jednocześnie żądać i nie pozwalać, chyba że chce się anarchizować społeczeństwo i obalać wszelkie podstawy ładu.

Polska wybrała ład oparty na indywidualnem prawie własności. Możliwe są i inne łady. Nie tu miejsce na ich porównanie i ocenę. Z ładu opartego na władaniu indywidualnem wynika forma zobowiązania zwana „długiem" oraz sposoby zwalniania z tego zobowiązania. Niedopuszczalny np. jest sposób deklaratywny ze strony dłużnika. Dopuszczalnym jest natomiast np. sposób deklaratywny ze strony wierzyciela. Niedopuszczalnym jest sposób, który możnaby nazwać „milczącem zaprzepaszczeniem", aczkolwiek często w Polsce stosowany. Wskazuje to na niedociągnięcia moralne w naszem społeczeństwie.

Konsekwentne przeprowadzenie zasady własności indywidualnej wymaga egzekucji zobowiązań. Czy aż do więzienia za długi, to inna sprawa. W każdym razie wymaga ścisłego i konsekwentnego określenia warunków zwolnienia z zobowiązań. Takiego określenia, które nie byłoby sprzeczne z innemi ustawami.

Musimy żądać ścisłego wykonywania zobowiązań.

A więc musimy dać możność jasnego i bezwzględnego zwolnienia z zobowiązań.

Dlatego uważam zgodę Polski na zamieszczenie w umowie z Włochami klauzuli liberacyjnej w formie „wierzycielskiej" za błąd ze strony naszych negocjatorów [1]). Lepiej jednak byłoby nie umieszczać w tej umowie żadnej klauzuli liberacyjnej. Wówczas obywatel polski byłby spokojny w swoim sumieniu, że spełnił swe zobowiązania, postępując zgodnie z ustawami dewizowymi. Dzisiejszy stan rzeczy stwarza natomiast konflikt następujący:

Stara moralność mówi: „moje zobowiązanie na skutek błędnego funkcjonowania układów clearingowych nie zostało wykonane. W myśl umowy, mającej sankcję mego państwa, zobowiązanie to ciąży na mnie nadal. Aby się odeń uwolnić muszę złamać ustawę i przekazać do Włoch pieniądze per fas et nefas poza dopuszczalnemi prawem drogami".

Moralność zaś „poprawiona" mówi: „zobowiązanie na mnie ciąży, ale ja mam zobowiązania w d... Niech mnie sąd skarze na powtórne zapłacenie, a tymczasem niech się Włochy martwią o odmrożenie. Jak nie kupują od nas, to ich zmartwienie — nie nasze".

Moim zdaniem, oba stanowiska są niesłuszne. Oba podważają szacunek dla ustaw i dla zobowiązań. Polska racja stanu wymaga zwiększenia szacunku dla prawa, a więc ustaw wykonalnych. Dlatego też klauzula liberacyjna w brzmieniu „wierzycielskim" nie powinna w ogóle figurować w polskich umowach płatniczych.

f.

LITERA PRAWA

Litera prawa wymaga, aby pewnym formalnościom stało się zadość. I powstają sytuacje, że dla zadośćuczynienia tej literze gubi się treść i cel, dla którego prawo powstało.

Ano — już tak jest, że koncepcja normatywna musi być ubrana w słowo. Sztuka ubrania koncepcji prawnej w takie słowo, aby nie zagubić treści, aby prawo było jasne, wyraźne i nie tamowało życia, sztuka redakcji prawnej, zaginęła w Polsce w końcu XIX wieku. Gdy w odrodzonym państwie powstawały nowe ustawy — język ich nie był ani jasny, ani piękny, ani niewieloznaczny. Może zaginęła sztuka redagowania, a może zaginęła umiejętność jasnego myślenia, umiejętność dociągania norm do celów. Ostatnio mamy do zanotowania nowy patologiczny objaw w tej dziedzinie.

Z bólem serca zdecydowaliśmy się pod naporem konieczności, wbrew woli własnej na ograniczenia dewizowe. Rok centrali dewiz wykazał, że sam system reglamentacji jest uciążliwy dla stron, albowiem unieruchamia kapitał na czas dłuższy. Poprzednio odbiorca zagraniczny otrzymywał należność nazajutrz lub na trzeci dzień po udzieleniu dyspozycji. Obecnie wyrwanie pieniędzy z obrotu trwa tydzień lub znacznie dłużej. Ale trudno. Innych większych gospodarczo mankamentów nie było.

Ale każda władza rozszerza swój zasięg, doskonali swe środki działania, pogłębia wnikliwość kontroli nad tą częścią ładu publicznego, która jest powierzona jej pieczy.

---

[1]) Nie jest to zarzut potępiający ich, albowiem w rozgardiaszu taktycznych rozgrywek łatwo nie dojrzeć związku między wybranym rozwiązaniem, a zjawiskami w innej dziedzinie — np. moralnej.

Komisja dewizowa już bada nie tylko celowość wydatku, lecz i kontroluje czy wartość zapłaty odpowiada warunkom zakupu.

Bardzo to ładne, nawet niezbędne dla monopolu handlu zagranicznego, ale możliwe tylko przy znajomości fachu i branży. Wykracza zaś stanowczo poza kwalifikacje K. D.

Wobec braku tych kwalifikacji powstaje tu luka. K. D. chce mieć autorytatywne uzasadnienie różnicy wartości jednostki wagi w fakturze a w pozwoleniu przywozu, ale nie pamięta o tem, że niektóre artykuły, przeważnie surowce, płacone są nie wg ceny stałej a wg klucza, składającego się z ceny stałej za analizę zasadniczą plus pewna opłata ruchoma za każdy % zmiany. Klucze do obliczania ceny są różne, zależnie od towaru.

Literze prawa musi się stać zadość. Przy różnicy ceny o 5 — 8% K. D. żąda zaświadczenia cen przez C. K. P. CKP nie ma fachowej znajomości rzeczy, ale na wszelki wypadek nie wierzy stronie, więc żąda dla swego usprawiedliwienia zaświadczenia od Lewiatana. Lewiatan bada dokumenty złożone uprzednio w banku dewizowym (poco je składać w banku dewizowym, jeśli bank nie potrafi wytłumaczyć Komisji Dewizowej mechanizmu cen ruchomych?). Bieganie i przenoszenie papierków trwa w każdej instancji zaledwie kilka dni. Wkońcu K. D. przekonała się, że strona w Polsce płaci tyle, ile się należy, a nie wywozi tą drogą pieniędzy na niedozwolone cele. Procedura trwała zaledwie 2 — 3 tygodnie. A tymczasem został przekroczony termin płatności. Jeden z istotnych punktów umowy, moment zapłaty, nie został z polskiej strony dotrzymany. Umowa została zerwana.

Komisja Dewizowa spełniła swe zadanie. Przekonała się, że nie ma oszukiwania gospodarstwa narodowego o 5 — 8%. Ale że skutkiem jej formalizmu może powstać strata w wys. 100% — że przy nowej umowie za niezbędne surowce będziemy zmuszeni płacić o 100% więcej aniżeli za te same surowce płaciliśmy przy umowie zerwanej z winy K. D. — za to żaden z biurokratów odpowiedzialności nie ponosi.

Formalnie.

Literze prawa stało się zadość.

Wniosek I:

Wpierw trzeba zmontować aparat powołany do kontroli cen, potem wypróbować jego działanie w takiej dziedzinie, gdzie zwłoka nie jest niebezpieczną, a następnie dopiero można kontrolować wszelkie ceny przy wolnym transferze.

Wniosek II:

Dlaczego kontrolować ceny przy wolnym transferze, a nie przy clearingu? Logicznej dyskryminacji wywozu nadwartości tą czy inną drogą nie ma.

A może taniej wprowadzić Monopol Handlu Zagranicznego?

k. o.

KONWERSJA POŻYCZEK DOLAROWYCH

Rozpoczęta w dniu 1 czerwca b.r. konwersja pożyczek wypuszczonych za granicą w walutach obcych na 4½% Wewnętrzną Pożyczkę Państwową 1937 r. dała w ciągu pierwszych trzech tygodni bardzo duże wyniki, gdyż w tym czasie skonwertowano przeszło 25% znajdujących się w obiegu na rynku polskim obligacyj pożyczek dolarowych, przy czem tempo dalszej konwersji stale wzrasta.

Nowa 4½% Wewnętrzna Pożyczka Państwowa 1937 r. przeznaczona jest wyłącznie na wymianę papierów emitowanych za granicą w walutach obcych. Kupony od tej pożyczki płatne są trzy razy do roku, w dniu 1 lutego, 1 czerwca i 1października. Pierwszy kupon płatny będzie w dniu 1 października 1937 roku.

Obligacje 4½% Wewnętrznej Pożyczki Państwowej 1937 r. są papierem pupilarnym, a ich kurs kaucyjny i wadialny wynosi 70 za 100. Obligacje będą przyjmowane w ich nominalnej wartości przez wszystkie urzędy skarbowe na terenie Rzeczypospolitej na poczet spłaty zaległych podatków w ramach rozporządzenia Ministra Skarbu z dnia 18 marca 1937 roku.

Do wymiany na 4½% Wewnętrzną Pożyczkę Państwową 1937 r. przyjmowane są obligacje następujących pożyczek dolarowych:

1) 6% pożyczki dolarowej z 1920 r.,
2) 8% pożyczki dolarowej z 1925 r., t.zw. Dillonowskiej,
3) 7% pożyczki stabilizacyjnej z 1927 r.,
4) 7% pożyczki dolarowej Województwa Śląskiego z 1928 r.,
5) 7% pożyczki dolarowej m.st. Warszawy z 1928 roku.

Do czasu wydania właściwych obligacyj nowej pożyczki z tytułu konwersji, wydawane są świadectwa tymczasowe, które przed dniem 1 października 1937 r. t.j. przed datą płatności pierwszego kuponu nowej pożyczki będą wymienione na obligacje stałe.

Konwersję pożyczek wymienionych w pkt. 1 — 3 przeprowadza Bank Polski i jego oddziały. Konwersję 7% pożyczki dolarowej Województwa Śląskiego z 1928 r. — Bank Rolny i jego oddziały, zaś konwersję 7% pożyczki dolarowej m.st. Warszawy — Bank Handlowy w Warszawie i jego oddziały.

Przy przerachowaniu kapitału obligacyj dolarowych na obligacje 4½% Wewnętrznej Pożyczki Państwowej 1937 r. uwzględniana jest t.zw. premia wykupu, która wynosi dla 8% pożyczki Dillonowskiej — 5% nominału, dla 7% pożyczki stabilizacyjnej — 3% nominału i 7% pożyczki dolarowej śląskiej i Warszawy — 2% nominału. 6% pożyczka dolarowa 1920 r. nie posiada premii wykupu. Kurs przerachowania ustalony został jak następuje:

za 1$ 6% poż. dol. z 1920 r.	— 6,— zł
8% „ Dillon., 7% Śląska i 7% Warszawa	— 5,30 zł
7% poż. stabilizacyjna	— 7,20 zł

Za obligacje pożyczek dolarowych, składane do konwersji w okresie od dnia 1 czerwca 1937 r. do

wszystkie kupony łącznie z kuponem bieżącym w dn. 1 czerwca 1937 r., wydawane są obligacje 4½% Wewnętrznej Pożyczki Państwowej 1937 r. z wszystkimi kuponami, poczynając od kuponu pierwszego, płatnego w dniu 1 października 1937 r.

Rozrachunek z tytułu ostatniego kuponu bieżącego od obligacyj pożyczek dolarowych, składanych do konwersji, następuje w dniu ich złożenia w ten sposób, że wartość tego kuponu jest wypłacana w gotówce w wysokości 35% jego wartości nominalnej, każdy więc konwertujący otrzymuje przez pewien okres czasu (od ½ — 6 miesięcy w zależności od pożyczki) dwukrotne oprocentowanie. Wypłaca się bowiem konwertującemu gotówką 35% nom. wart. kuponu od pożyczki dolarowej za pewien czas, w którym biegną już odsetki 4½% Wewnętrznej Pożyczki Państwowej.

Szczegółowe informacje w sprawie rozrachunku z tytułu kuponów od obligacyj pożyczek dolarowych, składanych w terminach późniejszych lub składanych bez kuponu bieżącego w dniu 1 czerwca 1937 r., mogą być uzyskane we wszystkich placówkach wymiany, przy czem placówki te wydają na życzenie klientów obszerne druki, zawierające wszystkie szczegóły dotyczące konwersji.

W związku z dotychczasowymi wynikami konwersji i pojawieniem się w obrotach prywatnych świadectw tymczasowych na nową pożyczkę — Ministerstwo Skarbu zarządziło wprowadzenie świadectw tymczasowych nowej pożyczki do obrotów i notowań giełdowych, zarządzając równocześnie skreślenie z notowań urzędowych objętych konwersją pożyczek dolarowych, dopuszczonych do obrotów oficjalnych, a mianowicie: 7% pożyczki stabilizacyjnej i 6% pożyczki dolarowej.

Ministerstwo Skarbu przypomina równocześnie, że w dniu 15 lipca 1937 r. upływa ostateczny termin składania do konwersji na 4% Pożyczkę Konsolidacyjną, 6% Pożyczki Narodowej, 3% Premiowej Pożyczki Budowlanej i 4% Premiowej Pożyczki Inwestycyjnej.

SZUKASZ SZCZĘŚCIA...

Tyle się w Polsce pisze i mówi o niechęci do zarobku, o zwalczaniu dochodu i zysku, o braku dążenia do dobrobytu...

A jednak łamy prasy codziennej i periodycznej pełne są ogłoszeń, przepraszam — artykułów, nadsyłanych przez monopol loteryjny, który wszelkimi dostępnymi mu sposobami... literackimi wzywa obywateli, aby się bogacili. Loteria czyli „szukasz szczęścia — wstąp na chwilę" jest tym wspaniałym bodźcem do oszczędzania, inwestowania etc. Normalna droga, t. zn. praca, wynalazczość, przedsiębiorczość, ryzyko i ekspansja, wydaje się zbyt ciężka, nudna i powolna. Lepszy, pewniejszy i szybszy jest totalizator lub los na loterii.

Rolę loterii spełnia w życiu gospodarczym monopol lub koncesja; ta ostatnia typu przedwojennego, tureckiego: kapitulacyjna. Przeczytajmy np. bilans oraz rachunek strat i zysków popularnej warszawskiej „Pasty". Przy kapitale akcyjnym 42,5 mil. zł. Polska Akcyjna Spółka Telefoniczna (do połowy, jak wiadomo, państwowa) posiada kapitał amortyzacyjny w kwocie ni mniej ni więcej tylko 53 mil. zł i zapasowy 4,7 mil. zł, a jej czysty zysk, osiągnięty w r. ub., wynosi 5,1 mil. zł.

Daj, Boże, każdemu takie zyski. Tylko że w „Paście powstają one nie dzięki energii, pomysłowości i rozmachowi inwestycyjnemu spółki, lecz skutkiem monopolu. I to jakiego monopolu: nikt poza „Pastą" nie ma prawa do eksploatacji telefonu, taryfa telefoniczna jest pomimo drobnych obniżek — taryfą wygórowaną, najważniejsze zaś jest to, iż dopóki roczny czysty zysk spółki nie przekroczy 12% kapitału akcyjnego, dopóty opłaty telefoniczne nie będą zniżone. Innymi słowy warszawski monopol telefoniczny ma obowiązek wykazywać b. wielkie zyski (bo dywidenda 12%-wa jest w polskich warunkach rekordowa), których przekraczać nie ma potrzeby, gdyż to... potaniłoby posługiwanie się telefonem.

Szukasz szczęścia — wstąp na chwilę do... „Pasty". Tam cię nauczą, jak to w Polsce, kraju jakoby deficytowej przedsiębiorczości, łatwo dojść do majątku.

br.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.